



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

NAJPIĘKNIEJSZA.

Z wszystkich krain na szerokiej ziemi,
Dokąd pamięcią gnane myśli płyną —
Tys najpiękniejsza pomiędzy wszystkimi,
Najdroższa dla mnie, o — moja kraino!
Widziałem laurów woniejące gaje,
Niebo Iberyi, piękne Renu brzegi
I morza one, za któremi wstaje
Słońce i ciągną złote gwiazd szeregi.
Widziałem ziemie o gór śnieżnych szczytach,
Na które ludziorz niedostępna droga —
I gły lodowców tonęły w błękitach
I byłem pewny, że widziały Boga.
Słyszałem w Alpach wodospadów grzmoty
I gondolerów senną pieśń w Wenecyi —
Lecz duch mój zawsze jest pełen tęsknoty,
Że lecąc naprzód, nie do ciebie lecł!

Nad laurów gaje i strojne granaty
O liściu wazkiem i o kwieciu krwawem —
Wolę ja białe, czeremchowe kwiaty
I smutną wierzbę nad błękitnym stawem.
I nad rzeźbione pałaców portyki,
Gdzie bluszcz rozrosły szczyrby wieków kryje —
Wolę ten powój malutki i dziki,
Który u płotu naszych chat się wije.

Nad pieśń wenecką dla mnie więcej śpiewne
Dźwięki dum, brzmiące w wiśniowych ogro-
[dach —
Nad błękit włoski wolę mgły powiewne,
Które na naszych osiadają wodach.
Znam ziemie wszystkie! wichrowemi loty
Już je przebiegłem raz — drugi — i trzeci...
Lecz duch mój zawsze jest pełen tęsknoty,
Że lecąc naprzód — nie do ciebie lecł!

Kazimierz Gliński.

O Edwardzie Jelinku

WSPOMNIENIA

Adolfa Czernego.

P. Adolf Czerny, serdeczny przyjaciel Jelinka, wydał zajmującą książeczkę, o tym tak blizkim naszego serca pobratymcu, z której podajemy streszczenie i więcej nas zajmujące szczegóły. Zaznaczyć trzeba że p. Czerny jako doskonały znawca języka polskiego i naszych stosunków, potrafił należycie ocenić działalność ś. p. Jelinka tak na czeskiej jak i polskiej niwie literackiej oraz zasługi jego na polu szerzenia czesko-polskiej sympatii. Jest on niejako prawym spadkobiercą duchowej spuścizny po Jelinku i z całym zapałem zabiera się do ujęcia opuszczonego pługa.

Edward Jelinek tak zrosł się w Czechach z Królestwem, mówi p. Czerny, że przy samym dźwięku jego nazwiska przychodzi na myśl Królestwo i jej stosunki. Czechy nie posiadają drugiego takiego znawcy i tłumacza życia i dążeń jakiegokolwiek narodu słowiańskiego, jakim był Jelinek w stosunku do Królestwa. Idealny zapał jego dla pobratymczego narodu i głębokie współczucie cierpienia i radości przejmowały całą jego istotę i wodziły jego piórem. Hasłem Jelinka było „poznajmy się“ i „kochajmy się“ i nieodstępował go całe życie.

Szczegółowe i nieustające studia nad przeszłością i obecną doba, częste wycieczki do Warszawy, Krakowa, Poznania i na Litwę, rozległe stosunki z Polakami różnych sfer towarzyskich ułatwiały mu pracę w tym kierunku.

Do celu zapoznania Czechów z Polakami i odwrotnie dążył wszystkimi drogami.

Od poważnych rozpraw, rysów powiastkowych, aż do artykułów i polemik, wszelkich form używał na służbę dobrej sprawie. Dopiero jak się zbierze wszystko, co się znajduje w książkach, pismach tygodniowych i codziennych, okaże się w pełnym świetle ogrom pracy, jaką wykonał. A z każdego wiersza przebija ciepło jego dobrego serca, to nieprzebrane źródło uczucia, którem zyskiwał sympatyę czytelnika dla ukochanej przez się idei.

Najpopularniejszymi stały się w Czechach krótkie powiastki z życia polskiego, które wprowadzają czytelnika do różnych zakątków kraju, przedstawiają rozmaite strony życia i charakteru polskiego. Do nich należą: Rysy kozackie (1885), Rysy litewskie (1886) Ukraińskie dumy (1888), Rysy warszawskie (1890) Motylek z norweskiej bójki (1893) Światła i cienie, dwa tomy (1891—94), w których sięga i innych słowiańskich krajów. Książki te zawsze będą tworzyć osobną grupę w czeskiej literaturze i służyć jako

najbardziej pewne źródła znajomości stosunków polskich.

Ulubioną też formą jego były wspomnienia zmarłych znanych osób, które umiał ze szczególnym talentem przedstawić, jakby portrety ożywione jego piórem. Tu zaliczyć można: Polskie panie i panny, niezabudki z książek, podróży i życia (1884) i pokrewne im Domy starszych salonów polskich (1888), dalej Słowiańskie odwiedziny i wspomnienia (1889). Rysy słowiańskie z życia towarzyskiego literackiego i artystycznego i życiorys Honoraty z Wiśniowskich Zapowej, skreślony na podstawie jej korespondencji.

Prace w tym kierunku nie ograniczają się na wyżej wymienionych, mnóstwo bowiem rozrzucone jest po czasopismach jak: Słowianski zbornik, Lumir, Hlas naroda. Do nich też zaliczyć należy wspomnienia pośmiertne umieszczone w pismach mianowicie: Antoni Edward Odyniec, Bohdan Zaleski, Waclaw Aleksander Maciejowski, Adam Honory Kirkor J. I. Kraszewski, Aloizy Żółkowski, oraz umieszczone w „ostatnich wspomnieniach“: Dwie przyjaciółki narodu czeskiego: Orzeszkowa i Kościółkowska.

Wszystkie te choć różne treścią rzeczy mają wspólną społeczną cechę, wszystkie łączy jedna dążność, choć nigdzie wyraźnie nie wysławiona, ale rzeczywiście tam tkwiąca, wyniesienie szlachetnego uczucia patriotycznego, które przejawia się w jakim bądź czasie, warstwie społecznej, u kobiet czy mężczyzn, w spokojnym życiu rodzinnym, czy na polu walki. W tym właśnie rysie przebija najjaśniejszą idealną duszą Jelinka. Widać tu podwójną tendencję, miały one zyskać sympatyę Czechów dla tych, których przedstawiają, oraz być niejako dla nich przykładem cnót obywatelskich. Są one ziarnem, zasianem ręką braterskiej miłości z pragnieniem stokrotnego plonu.

Prace te prócz wyżej wymienionych mają jeszcze tę wartość, że są niejako studjum do większej budowy, którą Jelinek w ostatnich latach życia swego przedsięwziął, mianowicie: O polskim upadku i powstaniu, a której już dokończyć nie zdążył.

Dażąc do zaszczepienia czesko-polskiej sympatii, poruszał ją w osobnych broszurach jak: O zgodzie czesko-polskiej (1887), O kwestyi polskiej, pragnieniu słowian (1893) O rusko-polskim sporze odpowiedź na mowę d-ra Kramarza (1891).

Niestety ostatnie lata życia Jelinka były zachmurzone nieporozumieniami czesko-polskich posłów w parlamencie. Cierpiał on na tem podwójnie, bo wiele nieprzychylnych jego dążeniom osób wytykało mu ten stosunek posłów jako dowód, że daremnie pracuje. Dolewało to rzeczywiście trucizny do czaszy już ciężko chorego naszego przyjaciela i powoli podkopywało mu życie. Nie miał nawet pociechy doczekać się porozumienia w parlamencie. W liście z dnia 5 listopada 1894 r. pisze: „Nasze stosunki czesko-polskie zatruwają mi każdy dzień życia. Bóg jedyny wie ilem przecierpiał!“

W tymże czasie bo 94 r. starannie obrobił dwa obrazy: 1) Zapomniany kąk Słowiański poglądy na Kaszubów. Jest to pierwsza rzecz tego rodzaju w czeskim języku, a z jakim interesem była powitana dowodzi, iż wydanie już wyczerpane zostało. 2) Pogląd na Litwę 1895 r. chociaż Jelinek skromnie powiada, iż pobudką do napisania tego dzieła była tylko chęć pozostawienia po sobie czegoś w Litwie, nie mniej rzecz jest traktowana poważnie z wielką znajomością, bo wiadomem jest, że Litwę szczególniejszemu umiłował.

Na zakończenie przeglądu polskiej czynności Jelinka w czeskiej literaturze przytoczyć trzeba, jak się przyczyniał do rozszerzenia znajomości języka polskiego w Czechach.

1882 r. poprawił 4 wydanie gramatyki polskiej Szpachty, oprócz tego zaczął wydawać polską podręczną biblioteczkę z uwagami i słowniczkiem, która jednak na pierwszym tomie komedyi Fredry pan Geldhab przerwana została, z powodu braku uczestników.

Drugą stroną działalności Jelinka, która wypływała z samego założenia „poznajmy się“ by-

ło zapoznawanie nas z życiem Czechów. Przyczynił on się tem do rozproszenia często śmiesznych lub fałszywych niewiadomożką naleciałych i na jakich zasadach urobionych pojęć o pobratymcach, żyjących od nas o miedzę.

Przez lat dwadzieścia Jelinek stale podawał nam wiadomości o swym kraju i współrodakach, używając do tego najchętniej formy artykułów, sprawozdań i listów. Był on stałym współpracownikiem „Kuryera Warszawskiego“, „Bluszczy“, „Tygodnika Ilustrowanego“, „Wisły“, „Kraju“, „Przeglądu tygodniowego“ i „Kłosów“ prócz tego pisywał do Przeglądu polskiego, Świata, „Ruchu literackiego.“ Czasu, Lecha, Dziennika poznańskiego, studia i rozprawy o czeskich stosunkach narodowo politycznych, czeskim ludzie, czeskim upadku i przebudzeniu, i szczególniejszemu referaty i listy o nowych objawach czeskiego życia.

Takim sposobem stał się polskim publicystą, co przyszło mu tem łatwiej, iż językiem polskim władał, jak rodowity polak.

Opisując uroczystość J. I. Kraszewskiego obchodzoną w Pradze d. 11 Grudnia 1878 r. przytacza szeregi historycznych danych łączności Czech z Polską jako to: „Czeska Dąbrówka wprowadziła chrześcijaństwo do polski; Bolesław Chrobry zamyślał połączyć oba kraje pod jednym berłem; Jan Žyżka walczył w szeregach Jagielly pod Grunwaldem i tam nawet stracił oko; Władysław Jagiellończyk był królem czeskim; w XV wieku na dworze krakowskim używano języka czeskiego. A kiedy po wojnach husyckich i Białogórskiej klęsce wielu Czechów opuszczać kraj musiało, znalazło gościnny przytułek w Polsce. Wszystko razem dowodzi, że nie byliśmy sobie obcymi, a chociaż przez czas jakiś oziębły wzajemne stosunki, iskra sympatii rozdmuchana być może i powinna ogarnąć serca ciepłym płomieniem.

Szczególnej popularnemi stały się jego listy: O towarzystwie czeskiem, drukowane w Czasie. Niema w nich cienia fałszu. Właśnie tą szczerością, nie ukrywaniem wad, które każdy naród, jak pojedynczy człowiek posiada, nie przecenianiem zalet, położył Jelinek wielką zasługę, bo poznano w nich prawdę, a prawda zawsze porówna szlachetne serca. Wynikiem tych listów, niejako była chęć polaków zapoznania bliżej opisywanych pobratymców, a więc liczny zjazd w czasie wystawy jubileuszowej 1891 r. kiedy ilość gości polskich wyniosła 5,000 osób.

Takie zaś wzajemne poznanie mogła oddziaływać tylko dobrze na upragnione przez Jelinka zbliżenie.

Nie mniejszej wagi były jego listy: O rzeczach Morawskich, bo jak się wyraził Jelinek: Morawa jest dla nas niejako „terra incognita“, chociaż leży na drodze do Wiednia, Szwajcaryi Włoch, które znamy dokładniej stokroć niż narody pomienione naszą ziemię.

Obrazy czeskie z czasów odrodzenia wydane w Bytomiu, ofiarowane są kochanemu ludowi polskiemu na Szlązku, podają one jasny i zajmujący przegląd organizacji czeskiej pracy społecznej, poczynając od stowarzyszeń, których powstanie datuje się od 1867 r. aż do Macierzy szkolnej i towarzystw patriotycznych: poszumowskiego i północno czeskiego. Pilne pióro Jelinka zastępowało kancelaryę informacyjną, funkcyjną między Królestwem a Czechami.

Największem upodobaniem Jelinka było zbieranie i segregowanie korespondencji pozostałych po zmarłych zasłużonych ludziach. Płomem tej pracy są umieszczone w różnych pismach: korespondencje pana Adama Junosza Rościszewskiego z Waclawem Hanką 1829 aż do 1874 r. listy Wojciecha Cybulskiego, profesora literatur słowiańskich wrocławskiego uniwersytetu do Waclawa Hanki 1840—1847; listy Tytusa hr. Działyńskiego do Waclawa Hanki.

Sam prowadził bardzo rozległą korespondencję ze wszystkimi prawie wybitnymi osobistościami, zajmującymi się sprawą słowiańską i zostawił po sobie bogaty materiał w postaci 8,000 listów.

Po polsku nauczył się od pani Józefy Nowickiej, która 1872 r. przez parę miesięcy bawiła

w Pradze. Na „Świętym Obrazku“ Wilkowskiej nauczył się czytać, a wziął się do tego z takim zapalem, że czego nie zrozumiał, tego się domyślił i zaraz w następnym 1873 r., zaczął swą działalność literacką czesko-polską prawie jednocześnie. W 1876 roku przedsięwziął pierwszą podróż do Warszawy, a po niej nastąpiły częste następujące wycieczki do Rossyi, Horwacyi, Bulgaryi i t. d.

Trzecim działem pracy Jelinka była idea wszechsłowiańska. Z zamiłowaniem badał on stosunki całej słowiańszczyzny, zaczynając od narodów zorganizowanych w państwa, aż do małych zapomnianych prawie plemion jak Łużycanie i Kaszubi, przy czem zwykle rządził się sercem, brał w obronę słabszych.

Znając zasługi jego na tem polu, stowarzyszenie Slavia wybrało go na redaktora Slovanskeho zbornika, którego zadaniem było badać położenie i warunki narodów słowiańskich.

I tu Jelinek okazał wielkie zdolności najpierw doborem współpracowników jak: A. H. Kirkor, J. I. Kraszewski, Bron. Grabowski, D-r I. Karłowicz, D-r I. Hanusz, W. Z. Kościółkowska hr. Łucya Stadnicka, J. Bystron, J. D. Karwicki, J. Mienia, St. Windakiewicz. K. W. Wójcicki, K. W. Rostański, F. Bulgekow, p.p. Czubiński, W. Jagie, Al. Teodorow, Z. Stojanow, R. Koszutic, L. Leger, A. L. Hurdy, D-r Gustaw Stiernstrom i t. d. a następnie dzielnie prowadzeniem wydawnictwa, które też obficie zasiliał swemi artykułami.

Pierwsze objawy choroby, długo noszonej w piersiach, 1886 roku zmusiły go do przerwania tej pracy, a co zatem idzie do zawieszenia wydawnictwa. Nie mniej jednak do ostatniej prawie chwili nie wypuszczał pióra z ręki, obrabiając ulubiony przedmiot.

Czując się źle, a pragnąc zostawić po sobie pamiętkę, zaczął pisać swoje wspomnienia.

Pod datą 2 Marca 1875 r. pisze: Materyał mam dosyć około 300 haseł, z których do dnia dzisiejszego opracowałem zaledwie 20.

Winnem miejscu pisze: Zresztą miałem za wsze żyłkę do pamiętników, zaczerpniętą niechybnie z literatury polskiej, której pod tym względem wiele zawdzięczam.

Zaczynając każdą pracę miał zwyczaj pisać polskie: Szczęść Boże!

Pomimo niezwykłej siły woli i starannego uczucia, choroba w ostatnich czasach toczyła szybko słabe ciało, nie mogąc jednak pokonać ducha. Po dwukrotnym pobycie na południ powracał do ojczyzny coraz słabszy i o to co pisze o sobie we wspomnieniach:

Bóg mi świadkiem, jeszcze bym się nie dał jeszcze chciałbym bronić swego literackiego i społecznego stanowiska. Nawet w kwestyi czesko-polskiej nie dał bym się... Ale tak...? Ciężko walczyć, gdy z ręki i pióra wypada, ciężko potykać się z ludzkim kłamstwem i potwarzą gdy temu braknie... Zobaczymy, co będzie dalej.

Gdzieindziej znowu wspomina: Co się dzieje z naszą drżyną zakopańską? Mój Boże! W kilka lat rozbiegli się ludzie różnie. Paproć umarł, Szukiiewicz wyjechał do Ameryki i nadejże znać o sobie, Olszewski zamieszkał w Petersburgu, a ja... ja wędnę, wędnę...

2 Marca nakreślił „tymczasową przedmowę do swych wspomnień, dodając pod tytułem „dopewności“ (w nawiasie) dalej drżącą już ręką dopisał: Tylko czy nie zacząłem zapóźno. Kiżka rysów nie dałoby obrazu, jaki chciałem. A na ostatnim arkuszu zaznaczył ołówkiem: Tymczasem dalej nie mogę 10/3 897.

D. 15 Marca wieczorem już nie żył, a d. 18-g w sam dzień swego patrona został pochowany w cmentarzu Wyszehradzkim. Jest to uroczyste miejsce na wysokiej górze tuż nad brzegiem Welta, gdzie niegdyś stał gród książąt czeskich. Dziś jest tam niewielki kościółek otoczony małym cmentarzem, na którym wdzięczny naród grzebie swych książąt ducha. Tam obok niezapomnianej Bożeny Niemcowej spocnie ś.

Edward Jelinek, a oprócz pomnika postawionego przez Czechów będzie miał kamień na grobie z napisem: Przyjacielowi Polaków—Polki.
Antoszk i.

Wystawa pracy kobiet.

Dzięki inicjatywie Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, otwartą zostanie wkrótce w Warszawie wystawa, której każdy szczegół powinienby zajmować żywo, szerokie koła niewieście. Turniej ten bowiem, poświęcony będzie wyłącznie pracy kobiet. Nie chodzi tu zaś o czezy popis, lecz o wykazanie na przykładach, o przedstawienie, że tak powiemy, poglądowe, postępu w działalności niewieściej, na polu rękodzielnictwa i przemysłu. Dziesiątki tysięcy kobiet pracują dziś u nas, tysiące pracy i chleba szukają; wśród środków więc, poszukiwania te ułatwiających, ważny szczebel powinna zająć wystawa. Wykaże ona bowiem z jednej strony, zajęcia w których kobiety do najlepszych dochodzą rezultatów; oraz pola pracy niedostatecznie dotąd wykorzystywane; z drugiej strony zaś pozwoli ogarnąć całość przemysłowo-rękodzielniczej działalności niewieściej.

O tę też gałąź jedynie chodzi inicjatorom. Szkolnictwo, oraz bogaty dział wychowawczy i higieniczny, malarstwo, rzeźba, nauka, literatura, muzyka, wszystko to, od dyletantyzmu artystycznego, aż do poważnej pracy w dziedzinie myśli i sztuki, zostało wykluczone tym razem z turnieju. Wystawa jest ściśle rękodzielniczą, a jako specjalna, powinna być w zakresie swym bogatą i wyczerpującą.

Program jej obejmuje: Bieliznę, krawiectwo, haft biały, kolorowy i złoty, aparaty kościelne, sztukę stosowaną do przemysłu, kwiaciarstwo, koronkarstwo, trykotaże, gorsety, szewctwo, rękawicznictwo, introligatorstwo zwykle i galanteryjne koszykarstwo, wyroby włóściańskie, etc. etc.

Niestety, szczupłość lokalu nie pozwala na pomieszczenie okazów gospodarczych i ogrodniczych, w szerokim ich zakresie, oraz na przedstawienie pracy kobiet w fabrykach na tyłu innych polach.

Skromne tedy, lecz ściśle określone ramy przybiera wystawa warszawska. A ponieważ od poprzedniej ośm lat już upłynęło, mamy przeto nadzieję, iż czytelniczki nasze i jako wystawczy nie i jako zwiedzające silnie popierać ją zechcą. Wystawa otwartą zostaje w d. 23 b. m. w domu Neprosa, na Placu Teatralnym, delegacja zaś, przyjmująca okazy, zbiera się w Muzeum Przemysłu, już od d. 16 października.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

WRÓCI!

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Rozpoczęły się lekcje i poszukiwania zajęć innych, ale mimo obietnic Maryni, protekcji Laminowskiego nikt się do panny Jadwigi nie zgłaszał.

A tu słotna i błotna jesień nadeszła. Panna Jadwiga potrzebowała bucików—poszła więc do Dudkowskiego i za rubli pięć kupiła parę. Pan Onufry nie chciał brać gotówki, ra-

chunek wypadł czysty: buciki za płacę miesięczną. Starszy syn Dudkowskiego buciki przymierzał i gdy Jadwiga wyszła ze sklepu długo patrzył za nią.

O ile rada była z ucznia o tyle z uczennicami dużo kłopotu miała. Ośmioletnia Basieczka i Franeczka dziesięcioletnia, wyglądały na spore już dziewczęta. Najmniej o cztery lata musiały się wcześniej urodzić, a wygadane były okrutnie, leniwe przytem i tępe. Krzyż pański miała z niemi, nieraz wrodzonej cierpliwości brakło i głos musiała podnieść, ale wtedy Basieczka rozbeczała się na dobre, a Franeczka, rozdaszana, na zapytanie każde jak kamień milczała. Uwiadomiony o tem Fokiewicz kiwał palcem pod nosem córeczkom, brał zawsze stronę nauczycielki, której kiedy nie kiedy pudełko miętowych pastelków, albo słazowe ciasteczko w prezencie przynosił.

Po dwóch miesiącach pobytu w Szarogrodzie udało się pannie Jadwidze parę lekcji muzyki znaleźć, ale trud wszelki nie pokrywał wydatków, życie coraz więcej szare, coraz więcej bezbarwne było, w serce tęsknota się sączyła, na czole smutek osiadał strącany tylko siłą prawdziwie męskiej woli. Wychowana w innych warunkach bytu na świat i ludzi przez przyrząd duszy własnej patrzyła. Pewną była, że to, co jej rodzinę spotkało, a co było zasługą nie potępieniem, dawało prawo do względów pewnych ze strony współobywateli. Wierzyła w życzliwość ludzką, w przyjaźń, w braterstwo; zdawało się jej, że zwartem otoczą ją kołem, z radą dobrą, jeżeli nie z czynną pomocą przyjdą. Czeła więc tych życzliwych, ale napróżno. Nikt się nie zbliżał a zawarte stosunki towarzyskie ograniczały się na wizytach i rewizytach, zamianie słów obojętnych, w których czasami jakiś odcień niechęci nawet dostrzegła.

Najprzyjemniejszym dniem dla niej był wieczór niedzielny. Schodzili się do Sośnickich państwo Kamency, przychodził Oleś, Laminowski czekać na siebie nie kazał, a od niedawna nawet i Fokiewicz z córeczkami bywać zaczął. Ale twarz panny Jadwigi ożywiła się wtedy dopiero, gdy próg ich domu przestępował pan Paweł Rzutkiewicz, a najczęściej z Marynią przychodził, która pilnowała wyjścia pana Pawła i narzucała mu się na towarzyszkę.

Pewnego wieczora, a było to w połowie Grudnia, u Sośnickich na gości oczekiwano. Najpierwszy zjawił się Laminowski.

Dnia tego panna Jadwiga czuła się dziwnie rozstrojoną, jakaś zaduma błąkała się na jej czole, myślą ulatywała daleko, daleko, a łez parę na długich rzęsach zawisło—

— Nie jesteś swoją Jadziu,—szepnęła matka.
— Co tobie, dziecko?—pytał ojciec.
— Czy nie wiecie?—odpowiedziała.

Wetchnienie poruszyło pierś pana Mateusza. Chrząknięcie w sieniach oznajmiło przybycie Laminowskiego. Jadwiga opuściła salon, Sośnicka wyszła za nią, pozostał tylko sam Mateusz...

— Co to, ja najpierwszy jestem—mścidzieju?
— Za chwilę nadejdą i inni — rzekł Sośnicki, podając rękę panu Ignacemu. — Siadaj, co tam słyhać na mieście?

— Co u nas może być słyhać, mścidzieju?... Bieda jedzie i bieda pogania. A jakże tam u was?

— Czekam na obiecanie przez ciebie miejsce,—odezwał się z przekąsem Sośnicki.

— Było, mścidzieju — ale z przed nosa zdmuchnięto... żebym tak z tego miejsca się nie ruszył. Ale zdrowie—to grunt! a wy dzięki Bogu zdrowi jesteście wszyscy.

— Nie bardzo.
— No—no—no?
— Jadwisia dzisiaj mi niedomaga trochę.
— Uu— — A wiesz, że mi się śniło, że panna Jadwiga jest—niby—tego niezdrowa. I co to takiego?

Sośnicki ramionami wzruszył—
— Słuchaj—no,—odezwał się Laminowski, kładąc rękę na kolanie Sośnickiego.—Jako przyjaciel przyjacielowi możesz otwarcie powiedzieć...

Może kto w oko jej wpadł, uważasz tego— — co?...

— Może,—rzekł pan Mateusz— —

— Aha!...

Laminowski poprawił się w siedzeniu i podbródek sobie pogładził.

— Kto u was bywa?—rzekł.—Ja, Paweł i Fokiewicz— — —

— Tak,—mruknął Sośnicki.

— Wątpię ażeby aptekarz podobał się córce twojej?

— Oczywiście.

— Paweł? nie!

Tu przymrużył jedno oko i spojrzał na Sośnickiego.

— Zdaje się, że się stara o rękę panny Maryni Kamenckiej,—rzekł Mateusz.

— Zatem i nie on— — —

— Napewno, że nie on,—odpowiedział Sośnicki.

— Widzisz, mścidzieju, że tylko został... —

Sośnicki wpatrzył się w Laminowskiego i śmiać się zaczął. Laminowski śmiech ten wziął widocznie za dobrą monetę, bo równie zaczął się śmiać i tak, stojąc naprzeciw siebie, śmieli się obaj, pobudzając się wzajemnie.

W tej chwili panna Jadwiga z matką weszły do salonu.

— A cóż to panów tak wesołego spotkało? — spytała pani Marta.

— Ot, porozumieli się dawni przyjaciele, mścidziko—i nie więcej— — —

— Sfiksował!—mruknął pod wąsem Sośnicki.

Ale Laminowski do pań się przysiadł i komplementować zaczął.

Na dworze było chmurno, wiatr trącał suchemi gałązkami drzew i gdzieś w załomie dachu pogwizdywał przykro.

W przedpokoju odezwał się dzwonek.

— Pewnie Marynia,—zawołała panna Jadwiga i rada z pretekstu, że mogła uniknąć towarzysztwa Laminowskiego, wybiegła z salonu.

— Dobry wieczór, pani siostrze,—odezwał się Oleś.

— A któż to jest z tobą? — spytała Jadwiga, zbliżając się do kobiety, zajętej w tej chwili zrzucaniem kaloszy. — Helka?... A gdzie reszta waszego towarzystwa?

Panna Helena przegładziła włosy energicznym ruchem ręki i odpowiedziała:

— Jesteśmy bez towarzystwa.

— Jaktó? przyszłaś sama z Olesiem— — ?

— Czy się dziwisz, czy się gorszysz?

Jadwiga zaśmiała się.

— Ani jedno, ani drugie—widzę tylko, że gdzieś sobie *rendez-vous* naznaczyliście.

— Do tego jeszcze nie doszło,—tubalnym głosem odpowiedziała Helena.—Skłóciłam się tylko z Marynią i rodzicami, a niechając iść ani z nimi, ani sama, zaszłam po drodze do pana Aleksandra i wzięłam go z sobą.

— Byłaś u Olesia? — z odcieniem zdziwienia spytała Jadwiga.

— Byłam—no, i cóż wielkiego?...

— Nic—nic.

— Nic, nic—a zgorzenie w oczach twoich widzę. Tymczasem kto to pierwszy o *rendez-vous* wspomniał?

— Ależ to był żart z mojej strony, — tłomaczyła się Jadwiga.

— A tu żartu żadnego nie było. Zastukałam do drzwi pana Aleksandra, który je nieprędko otworzył, bo był zajęty jakimś ważnymi sprawami. Dopiero trzykrotne a energiczne szarpnięcie dzwonka, zmusiło go do wpuszczenia mnie do siebie. Miałam być tu wcześniej, ale zatrzymał mnie twój brat, odczytując, bardzo ciekawie zredagowany, prospekt nowego pisma.

— Więc pismo wasze wchodzi już w życie?

— Jest już życiem, moja pani—jest, jest,—zawołał Oleś.—Pierwszy numer ukaże się z Nowym Rokiem, a istnym biczem będzie na amatorów złotych butów.

Weszli do salonu.

Helena powitała wszystkich podaniem ręki i usiadła przy stole, zakładając po mężku nogę na nogę, pan Aleksander pocałował matkę, ojca w ramię emoknął a Laminowskiego pretensyj-

nalnie powitał. Pan Ignacy chciał koniecznie usiąść koło Jadwigi, ale ona, jakby zauważyła ten manewr, wcisnęła się pomiędzy brata a Helenę i z tą ostatnią półszepem rozmawiać zaczęła.

— Co tam było między tobą a rodzicami? — spytała cicho —

— Nie miejsce! — odparła krótko Helena —

Silny rumieniec wystąpił na twarz panny Jadwigi, podniosła się powoli, a Laminowski zaraz zbliżył się do niej...

— Jaki wiat! — zaczął —

— Dawniej lubiłam ten szum jesiennego wiatru, — odpowiedziała Jadwiga, — teraz przykro oddziaływa na mnie i smutnie myśli napędza.

— Mnie także, mścidziko, jego gwizdanie nieprzyjemność sprawia. Ale powiadam, na uczciwość, że pani mało towarzystwu się udziela. Mnie się zdaje, że ten wiat! nawieje śniegu, a jak się sanna ułoży, urzędę niby kulig.

— To myśl bardzo dobra — ja czasem chcę się bawić, szalenie bawić!...

— Zatem kulig jest, niech z tego miejsca nie wstanę. Pierwszemi saneczkami my, a za nami niech już jak sobie chcą jadać. Dobrze?

— Pan to naprawdę mówisz?...

— Karnawał nie za lasem.

— Szarogród myśli się bawić?...

— Trzeba się ruszać i rozruszać — to trudno!... Damy, mścidziko, początek!

— Zobaczmy, — odpowiedziała Jadwiga — i zwróciła się ku drzwiom saloniku, poza którymi dały się słyszeć głosy nowoprzybyłych gości.

Laminowski mruknął:

— Zobaczmy... Hm — dobrze! Ale ładna, że niech ją piorun zastrzeli!...

W salonie już była cała rodzina państwa Kamenekich, z którymi przyszła i pani Rzutkiewiczowa.

— A syn pani? — odezwała się Jadwiga.

— Nadejdzie nieco później — ma jakieś interesy na mieście.

— Ale nadejdzie? — spytał Aleksander.

— Niezawodnie —

— Bo tylko czekam na niego, ażeby przeczytać państwu prospekt naszego pisma.

— Jakże się tobie dzieje? — spytała Marynia, do Jadwigi się zwracając.

— Zajęć jest dużo, lecz te wszystkie lekcje, jakie mam, niewiele mi przynoszą.

Towarzystwo się ugrupowało i rozmawiało z sobą. Sośnicki z Laminowskim, pani Marta z Rzutkiewiczową, która od niedawnego czasu zaczęła bywać u Sośnickich, Oleś z Heleną o jakichś kwestjach społecznych rzecz prowadzili a Marynia coś półgłosem do Jadwigi szeptała, może o nieporozumieniu rodzinnem, o którym wspominała Helena. Rozmowa nie była ożywiona, urywała się co chwila, prym brał wiatr wtedy i swoje ponure nocturno wygrywał.

Wtem dzwonek się odezwał i Jadwiga drgnęła a lekki rumieniec twarz jej zabarwił.

Nie uszło to uwagi Maryni, pewien przestrach zarysował się w jasnoblękitnych jej oczach a usta przycięły się.

— Nastraszyłaś się, Jadziu —

— Od dni kilku czuję się dziwnie zduenerwowana, lada szelest mnie trwoży, nawet ten głos dzwonka tak mi dobrze znany...

— Jednakże już parokrotnie dzwonek się odzywał, a nie zauważyłam przestrachu w tobie, — z pewnym przekąsem rzekła Marynia.

— Prawda — ale to może zależy od siły szarpnięcia.

— A może od... osoby, która dzwonek potrafiła.

Jadwiga spojrzenie pytające utkwiała w oczach Maryni, która to spojrzenie przyjęła z zimnym spokojem, z uśmiechem na ustach, w którym Jadwiga jakieś kłamstwo dostrzegła.

— Posadzysz mnie? — rzuciła po chwili.

— Niema w tem grzechu, — odpowiedziała panna Kamencka.

— Jest tylko nieznajomość serca, które cierpi, kocha i czeka —

— A jednak — drgnęłaś, a jednak — rumieniec na twarz twoją wystąpił.

— Wiesz — że o czem myślałam w tej chwili?

— Sądziłam, że...

— O panu Pawle?...

— Tak!... i — że poznałaś szarpnięcie jego ręki!...

Jadwiga uśmiechnęła się i wzruszyła lekko ramionami. W tej chwili do salonu weszli Paweł i Fokiewicz.

— Widzisz — dwóch jest! — zaśmiała się Jadwiga.

— To rzeczy nie zmienia — twoje serce przeżyło dotknięcie dłoni pana Pawła.

Wraz z nowoprzybyłymi gwar większy pomiędzy zgromadzeniem powstał a Oleś, sciskając rękę Pawła: „Czekaliśmy na was“ rzekł, z czego i Fokiewicz był zadowolony, bo myślał, że owo „na was“ i do niego się stosowało; panna Helena wyciągając zamaszycie rękę do Rzutkiewiczowej: „Gdzież to, kolega tak długo bawił?“ spytała a i Laminowski rad był z przybycia gości, bo od kilkunastu minut wciąż biegał oczyma do jadalnego pokoju.

Obaj panowie zwrócili się z przywitaniem do Jadwigi i Maryni.

Panna Kamencka poruszyła się niespokojnie, raz w raz badawcze spojrzenie przenosząc z przyjaciółki na Pawła.

Po kilku słowach pytań i odpowiedzi zwykłych, Jadwiga zwróciła się do Pawła i Fokiewiczowej.

— Czy panowie razem przyszlście?

— Tak, pani! pana Fokiewicza spotkałem o kroków kilkanaście od domu państwa.

— A który z panów zadzwonił? — z wesołym uśmiechem spytała Jadwiga.

— Ja, pani! — odpowiedział Fokiewicz.

— Cóż teraz powiesz o rumieńcu moim? — zwróciła się do Maryni —

— Biedne serduszko oszukało się, — odszepnęła panna Kamencka.

— A, nie wiedziałam, że tak przewrotna jesteś! — zaśmiała się Jadwiga.

Paweł usiadł naprzeciw nich, Fokiewicz koło niego się przysiadł.

— Zasłyszałem słowo: przewrotność...

— Ja także zasłyszałem: przewrotność, — powtórzył za Pawłem Fokiewicz.

— ...i jeżeli się nie mylę, — ciągnął Paweł, — zwrócone one zostało do panny Maryni.

— Do panny Maryni — tak! — powtórzył Fokiewicz.

— Ciężki zarzut zrobiłam przyjaciółce swojej. Prawda, panie Pawle? — odezwała się Jadwiga.

— Ale czy słuszny?... — rzucił Paweł.

— Tak — czy słuszny? — powtórzył zaraz Fokiewicz.

— Mnie się zdaje, że choć odrobina, ale jest w nim słuszności — mówiła Jadwiga.

— Cóż pani na to? — spytał Rzutkiewicz Maryni.

— Tak — coż pani na to? — rzekł w też pędy aptekarz.

— Jak uważam, to pan Fokiewicz rolę echa wziął na siebie, — odezwała się z drugiego końca pokoju panna Helena.

Zaśmiano się — i Fokiewicz ciekawym zawtórował śmiechem.

— Zbliży się kolego do nich, — zwróciła się do Aleksandra panna Helena, — tam się wesoło bawia.

— Prosimy, prosimy — może będzie jeszcze weselej, — odezwał się Paweł.

— Będzie weselej, — pisnął Fokiewicz.

— Pozwólcie państwo, — zaczął Aleksander, — że odczytam teraz prospekt nowego pisma, które w społeczeństwie naszym niebawo dotąd przewrót robi.

— Dodam, — rzekła Helena, — że malutki udział i ja w niem mieć będę.

— Taak? — odezwało się głosów kilka.

Helena poważnie kiwnęła głową.

— Jaki dział pani tam przyjmie? — spytał Paweł —

— Zapewne malarstwo, — rzekła Jadwiga.

— O tem później — Nasamprzód wystąpię z artykułem o wychowaniu dzieci, zastosowaniem do nowych potrzeb społeczeństwa.

— Pani ma dzieci? — wyskoczył Fokiewicz.

Odpowiedzią było jowiszowe spojrzenie panny Heleny, aż wygolona twarz aptekarza sponowiała po białka oczu — —

— A jednak, Helenko — wmięszala się do rozmowy pani Sośnicka — w pytaniu pana Fokiewicza jest myśl pewna.

— Tak — myśl! — powtórzył Fokiewicz.

— Nie mając dzieci, trudno wiedzieć czem są dzieci i jakie, w danej chwili, sposób postępowania zastosować do nich. W błędzie są ci, którzy sądzą, że dziecko jest białą kartą, na której wszystko, co tylko nam się podoba napisać można. O, nie! to karta już zapisana, potrzeba tylko umieć ją odczytać, złe — zmazać, dobre — rozwinąć, a to wymaga nie mało trudu i poświęcenia. Macierzyństwo jest także umiejętnością.

— Pani się myli! — rzekła Helena. — My, bezdzielne, lepiej potrafimy wychować młode pokolenie, bo nas nie osłepi przywiązanie bezkrytyczne, a miłość własna, że to *moje* dziecko, w niczem na przeszkodzie nie stanie.

— Lecz czyjeż dzieci, będziecie wychowywali?

— Wasze!... — zawołała panna Helena, aż aptekarz się nastraszył i o mało z krzesła nie zleciał.

Pani Sośnicka zaśmiała się — —

— Nasze? Zostaw to już nam, Helenko — swoje zaś własne staraj się dobrze wychować.

— Kiedy panna Helena nie ma dzieci, — odezwał się Fokiewicz.

I znowu zmiażdżyło go jowiszowe spojrzenie panny Kamenckiej.

— Nic nie rozumiem, — jęknął aptekarz. — Pytam: czy pani ma? pani gniewnemi oczyma na mnie patrzy; mówię: nie ma — pani tak samo patrzy. A jednak musi być albo jedno albo drugie...

— Z panem nie mówię! — rzekła Helena.

— Dla czego, pani dobrodziko, dla czego? — zajączał Fokiewicz.

Ale panna Helena obróciła się plecyma do biednego aptekarza i założywszy nogę na nogę stuknęła piętą o podłogę.

Chcąc przerwać niemilą dysputę, pani Sośnicka poprosiła towarzystwo na herbatę.

— Chwileczkę, mam, — odezwał się Aleksander, — przeczytam tylko państwu prospekt pisma.

Z bocznej kieszeni wyjął arkusz drukowanego papieru, ale Laminowski za rękę go chwycił.

— Po herbacie, mścidzieju — po herbacie.

— Dziesięć minut, panie Laminowski, — rzekł Aleksander — i pójdziemy!

— Dziesięć minut — bój — że się Boga! W dziesięć minut całe prosię pieczone zjeść można — a to lepsza od prospektu zabawa. Co nam zresztą po nim! Wyjdzie pismo — to czytać będzie my; a wolę przecie pieczeń z różną na stole niż na karcie restauracyjnej... Proszę panią!

Podał rękę Jadwidze — —

— Panowie — rękę damom!...

Rzutkiewicz zbliżył się do Maryni a Fokiewicz do panny Heleny podskoczył.

— Co? — odezwała się Helena.

— Pani dobrodziko, zaszczyt, szczęście, przyjemność — —

Mówiąc to, ręce, w białe rękawiczki ubrane jak do modlitwy złożył.

— Zlituj się pani nad nim — szepnął Oleś.

— Pani! — prosił Fokiewicz — —

— A będziesz mi pan pozował?...

— Kiedy pani dobrodziejka zechce i jak pani dobrodziejka zechce.

— Jutro o pierwszej po południu być u mnie Toga rzymska, zwój pergaminu w ręce.

Fokiewicz schylił się i ucałował rękę artystki, a prowadząc ją do stołu szeptał w uniesieniu:

— Będę miał portret! Zapłacę, jak Boga kocham zapłacę, pani dobrodziko.

Towarzystwo parami udało się do jadalnego pokoju, na końcu szedł Paweł z Marynią.

— Dla czego pani teraz jest tak rzadkim gościem u nas? — spytała panna Kamencka, podnosząc sentymentalne oczy na Rzutkiewiczową.

Mieszkały na jednym dziedzińcu, tak blisko siebie — Pan mnie nawet teraz w altance nie szuka?... —

TEATR.

Baby, komedia w 4-ach aktach, napisana przez Zygmunta Przybylskiego i Klemensa Junoszy.

Odczuwam wielką przyjemność ilekroć wypada mi pisać sprawozdanie o sztukach naszych autorów, odczuwam zaś przyjemność podwójną, jeżeli talent autorom dopisał, sztuka się udała, zadowolili publiczność i smak estetyczny czy artystyczny krytyków. Sztuki autorów zagranicznych, które przed niedawnymi jeszcze latami, były jedyną prawie ozdobą Teatru naszego, nie mniej wdzięczne pole dać mogą rozbiorem krytycznym, lecz, pisząc o nich, wciąż się nasuwa myśl natrętna, natrętnie dręczy pytanie: A u nas? Czy brak jest talentów, czy ta „łaska Boża“ ta „iskra niebieska“, którą w twórczości pisarza widzimy, w duszach naszych rozpalic się nowym blaskiem nie może? Czy ta gleba dramatu i komedjopisarstwa jest już tak wyjałowiona, że żaden kwiat świeży o barwie pięknej a swojskiej, w bogaty kielich rozwinąć się nie jest w stanie?—I jakkolwiek oddajemy to, co się należy, pisarzom obcym, podnosimy wartość ich utworów, zaznaczamy piękności wszystkie, zdumiewamy się nad wyrobioną techniką, nad doskonałym pogłębieniem danej myśli, znawstwem duszy ludzkiej etc etc... ta myśl natrętna, wypowiedziana wyżej, nie opuszcza nas na chwilę i po raz setny stawiamy sobie pytanie:

— A u nas?

Czy zagadka nierozwiązana?

Nie zdaje nam się,—ale za wiele by, nam czasu zabrało wyluszczenie przyczyn; nie chcielibyśmy zresztą walczyć bronią frazesów tylko, lecz, niezgryzionemi jak mur, dowodami. Powiemy więc ogólnikowo bardzo: dramat był niechętnie widzimy na scenie i łatwiej było wielbładowi przejść przez ucho igielne, niż dramatopisarzowi ujrzeć dzieło swoje przy świetle kinietów teatralnych. Wspaniała tragedia Juliusza Słowackiego, która, za czasów dawniejszych, weszła na repertuar—dotąd musi zadowolnić się *księciem*, a powszechnie znany wieszcz narodowy, ukrywa się pod skromnemi inicjałami J. S. Na tę nieprzyzwoitość zwróciły już uwagę pisma nasze.

Lecz, jeżeli dramat nasz nie cieszył się uznaniem sfer teatralnych, może mu łamy swoje otwierały z chęcią czasopisma, może mógł się przynajmniej cieszyć względami nakładców?

Niestety!—i pod tym względem czasy się zmieniły.

Przed laty, przed laty trzydziestu jeszcze, nie tylko pisma poświęcone wyjątkowo literaturze, lecz i pisma polityczne, z chęcią w odcinkach swoich drukowały dramaty i komedje. Zkąd zapoznaliśmy się z utworami scenicznymi I. Korzeniowskiego, jeżeli nie z „Gazety Warszawskiej“? Gdzie były drukowane: „Beata“ „Pustynia“ „Konkurent i Maż“ i t. p. jeżeli nie w tej gazecie?—Przepatrzmy też pierwsze roczniki np. „Kłósów“ a przekonamy się naocznie, że sztuki oryginalne i dramaty Szekspirowskie, pocztne tam miejsca znajdowały.

Z biegiem czasu jednak kardynalne pod tym względem zaszły zmiany ad usum—kieszeni panów nakładców. Nie gust publiczności lecz ich gust się zmienił. Nowelka, powiastka, mniej obciążają kieszeń tych mecenasów literatury, niż dramat, do tego jeszcze wierszem pisany. Jeden z redaktorów pewnego pisma powiedział mi:

— Z zasady—nie drukujemy dramatów.

Ha! zasady powinny być szanowane.

Lecz, jeżeli dla prac dramatycznych nakładców ze świecą w rękę znaleźć nie można było, pisma trzymały się (i trzymają) *zasady* niedrukowania—co pozostawało dramaturgom?—Oczywiście, że kosztem własnym wydawanie pism swoich. Łatwiej to jednak powie-

dzieć niż zrobić. Nie każdemu na to funduszu starczyło, a jeżeli który i zdobył się na podobny wydatek, to musiał nakład swój złożyć w takiej lub takiej księgarni, odstąpić 33% księgarzom, upominać się codziennie niemal, by książkę jego kładziono w oknie wystawowym, wreszcie, zniechęcony (niepopierających nakładów nie swoich obojętnością panów księgarzy)—stracił na łeb i szyję i poraz drugi ryzykować nie chciał.

Czy przy podobnych warunkach mógł się u nas rozwijać talent dramatopisarski?

Wątpimy!

Z komedią było odrobinę lepiej.

Wprawdzie, że żadne z pism i dla niej od swej mądrej zasady nie odstąpiło, lecz przynajmniej choć Teatr był względniejszy, Bałucki i Blizniński, Zalewski i Lubowski, zbierali laury i cieszyli się oklaskami publiczności. Lecz powoli, powoli—faworyzowana opera, pieszczone balet, cackany Teatr Mały—wysunęły się na czoło, a Teatr dramatyczny, był tylko—protegowany. Komedjopisarze, dawniej uznani, wchodzili utartą już drogą na scenę, ale, talenty młodsze, nie były zbyt życzliwie widziane. Dla odświeżenia repertuaru nie szukano sił nowych w własnej glebie—lecz zwracano się zagranicę. Tandeta, ale ze stemplem zagranicznym, miała zawsze drogę do Teatru otwartą.

I tak było przez czas dość długi.

Nie dziwimy się więc wcale, że zastój u nas był ogromny, że z pewnym talentem nawet młodzi pisarze, przerzucali się na inne pola, roznijali się z powołaniem, stawiali się nowelistami, powieściopisarzami, kronikarzami, dziennikarzami, byleby grosz zdobyć na opędzenie potrzeb codziennego życia.—Od dwóch lat warunki się trochę zmieniły, nowa reżyserja szuka talentów rodzinnych, i—polską komedję, dramat polski, na deski teatru naszego wprowadza.

Nieraz mieliśmy już zrzęcnosć sprawozdania o naszych sztukach pisać. Nie byliśmy pobłażliwi, ale pochlebiamy sobie, że sąd nasz nie był stronny. Nie przecenialiśmy wartości sztuk, lecz—wyznajemy otwarcie—woleliśmy zawsze podnosić strony dodatnie, nie zrażając autorów początkujących zbyt ostrą krytyką stron ujemnych. Na chwilę jedną nie schodziły z myśli naszej *warunki*, w jakich dramatyczny talent u nas rozwijał się.

Dziś mamy pisać sprawozdanie o sztuce skreślonej przez dwóch naraz autorów, których nazwiska znane są szerokiemu ogółowi. Do napisania „Bab“ stanęli tacy pisarze jak: Klemens Junosza i Zygmunt Przybylski. Pierwszy doskonały powieściopisarz, drugi autor sztuk takich jak: „Bzy kwitną“ „Dwór we Włódkowicach“ i „Wicek i Wacek.“

Nazwisko wiele znaczy. Gdy po kilku dziełach rzeczywiście talentu, wyjdzie coś niedanego—krytyk nie ma prawa popuszczać wadze swojej złośliwości. Omylić się można w robocie dzieła, tak samo, jak w sądzie o nim.

„Baby“... Klemens Junosza... Zygmunt Przybylski...

Jestem w kłopotcie.

Kłopot się mój zwiększa, gdy widzę jeszcze napis: komedja. Komedja trzyma środek pomiędzy dramatem a krotoczwilą. W niej nie jest dozwolona szarża, przesada, skarykaturowanie postaci byleby tylko śmiech w widzach wywołać. Komedja powinna się liczyć zawsze z prawdą. Humor na tem nie ucierpi; im komizm jest naturalniejszy, tem sztuka zalet ma więcej. Farsie wolno z tem wszystkim się rozminąć, ale też musi i na stopniu niższym niż komedja—pozostać.

Ta właśnie przesada w przedstawieniu postaci, i w płataninie wypadków, ściąga „Baby“ autorów naszych na stopień—farsy. Mimo to jednak, w omawianym przez nas utworze, brak świeżości pomysłu, krotoczwili nawet, nie daje należnego miejsca. Pani Sarmacińska ze czeremna swojemi córkami na wydaniu, przypomina nam bardzo „fornalkę“ z Domu otwartego; rządy pani Stawińskiej zmieniające porządki domowe w wiejskim dworze p. Stefana, nie są tak-

Paweł zcerwieniła—

— Dużo zajęć miałem w czasach ostatnich.

A chcąc rozmowę na inny przedmiot zwrócić, rzekł:

— Czy pani nie zauważyła, że od dni kilku przyjaciółka pani jest mniej wesola niż zawsze, powiedziałabym—smutna?...

— Co państwo tak idziecie powoli? — spytała nagle Jadwiga, podbiegając do maruderów.

— Mówiliśmy o tobie.

— O mnie? czy wolno wiedzieć co?

— Pan Paweł zauważył, że jesteś smutna... Widocznie tajemnicą jest jeszcze dla niego, iż tęsknisz—po narzeczonym.

Rzutkiewicz uczuł silne szarpnięcie serca, oczy mu się rozszerzyły—i—nieruchome, zatrzymały się na Jadwidze.

— To tak?...—odezwała się Marynia, usuwając swoją rękę—

Paweł opamiętał się.

— Dla czego pani ucieka odemnie?...

Ale panna Marya wyszła z pokoju, zostawiając ich samych.

— Nic nie rozumiem,—szepnął Paweł.

— Proszę pana,—odezwała się zmieszana tem zajściem Jadwiga. I wyprzedzając Pawła weszła do jadalnego pokoju.

Przy stole jadalnym dwa miejsca były puste: jedno przy Laminowskim, drugie przy Maryni. Jadwiga usiadła przy panu Ignacym, Rzutkiewicz rad nie rad musiał dotrzymać towarzystwa pannie Kamenckiej.

— Gniewam się trochę na panią,—rzekł, siadając przy Maryni.

— Czy dlatego, że trochę sny pańskie rozważałam?

— Co pani o moich snach wie?...

— Mam dobre oczy.

— Ale większą złośliwość.

— Złośliwość—w czym?

— Pani nie powinna była towarzystwa mego opuścić. Ze strony pani była to...

— Niegrzeczność?

— Tak.

— A jabym myślała, że—dobroć!...

— Dobroć iście zagniewanej kobiety! — zaśmiał się Paweł.

— Mów pan wyraźniej.

— Nie—pijmy herbatę!...

Około godziny dwunastej towarzystwo pożegnało Sośnickich. Paweł miał towarzyszyć matce i pannom Kamenckim, ale zatrzymał go Aleksander, pragnąc z nim się podzielić wiadomościami otrzymanymi z Warszawy. Że godzina była spóźniona, Sośniccy udali się na spoczynek. Jadwiga dotrzymywała towarzystwa bratu i Pawłowi, na którego twarzy wyraźny rysował się niepokój. Gdy Aleksander na chwilę wyszedł z salonu, Rzutkiewicz zbliżył się do Jadwigi i rzekł nagle:

— W pamięci mi utkwily słowa przyjaciółki pani. Prawdą jest, że pani masz narzeczonego, po którym tęsknisz, którego oczekujesz...

— Tak—panie...

— Jego nazwisko?

— Gustaw Korycki—

— Aal!...

— Znasz go pan...

— Któżby, jeżeli nie znał, to nie wiedział o Koryckim? Ale musiałaś go pani nie widzieć od dawna i zobaczysz go nie prędko...

— Wiem o tem!

— Tymczasem są bliżsi, którzy tęsknią, czekają... kochają—

Jadwiga z wolna podniosła głowę i spojrzała na mówiącego—

Patrzyli chwilę na siebie, nie mówiąc nic. Serce Pawła biło mocno, usta drżały, a w oczach widać było jakąś prośbę błagalną.

— Na rękach panny Jadwigi zawisły łzy—

Paweł pochylił się, wziął rękę Jadwigi i pocałował...

Przebac, pani! Dziś nic nie żądam, dzisiaj nie mam prawa żądać.. Może—kiedyś!...

Obrócił się i wyszedł szybko z pokoju—

(Dalszy ciąg nastąpi).

że zbyt nowym pomysłem, przedstawienie zaś mieszkańcom wsi, z owemi dyganiami panien nie umiejących się kłaniać, mam wystrojonych jak koczodany—należy już do przeszłości. Dziś na wsi i rozum się znajduje i salonowe maniere, umieją się kłaniać, mówić i myśleć, wiedzą jak się ubierają na szerokim świecie i—(proszę wybaczyć)—mniej nawet może siatek nastawiają dla złapanie męża, niż—w mieście. Uderzyła więc nas niemiła ta, niczem dziś nieusprawiedliwiona, przesada w przedstawieniu wsi.

W komedii, główna rola „bab“ polega na tem, że—taka pani Stawińska, zjechawszy do kuchni swojego Stefana Kwiecińskiego chorującego na rzekome rozdrażnienie nerwów—będąc zgorznaną porządkami wiejskimi, zabiera się, według swojego widzi mi się, do przeprowadzenia ładu w domu. Pani Stawińska ma córkę, Jadwigę, towarzyszy jej także daleka krewna—panna Helena. Przewrócenie domu do góry nogami drażni, aż do omdlenia, wmawiającego w siebie chorobę Stefana, a tu nowy najazd i stokroć gorszy.

Sąsiadka Trzęsidel, pani Sarmacińska z czterema córkami na wydaniu, przerażona przyjazdem na prowincję panien warszawskich, mogących kawalerów im zabrać—przyjeżdża z wizytą do Stefana. Baba jęczyczna, ale córeczki, to trusie,—figurantkami tylko są na scenie. Tymczasem p. Stefan, idąc za radą doktora, który, zamiast sztucznych kąpiel,—każe mu codziennie rano staw przepływać, zamiast wyjazdu w góry—na koniu po wzgórzach na polu wyhasać się, a zamiast elektryzacji—ożenić się: zakochuje się w panie Helenie, odzyskuje zdrowie i chęć do życia, czynią zaś zadość pani Stawińskiej, wydaje bal—na który oczywiście sąsiadki, koczodony wiejskie, gromadnie się zjeżdżają. Rzecz kończy się dwoma zaręczynami p. Stefana z Heleną i młodego sąsiada Trzęsidel z Jadwigą.

Jak widzimy, komedia nie grzeszy zbyt zawiłą intrygą. Wszystkie zaś prawie postaci są skorykaturowane. Do bezwarunkowo dobrych należą: stara panna, siostra cioteczna Stefana, rada mu nieba przychylić, dręcząca go matkowaniem swoim, zaniepokojana ploteczkami sąsiadek, że małżeństwo jest grobem dla jej brata.—Pani Bogusławska doskonale rolę swoją odegrała.

Do udatnych postaci, a typowo prawdziwych, zaliczyć musimy pacheiarza Wigdora Natychmiast, odegranego wybornie przez Frenkla. Typową postać stworzył Wojdałowicz ze sługusa p. Stefana, a i pani Micińska w roli gospodyni wiejskiej, zasłużone zbierała oklaski. O Wolskim (Stefan) Czaki (Jadwiga) Niewiarowskiej (Stawińska) Borkowskiej (Sarmacińska) nie wspominamy. Gra ich doskonała jest zawsze. Pan Roland, sąsiad Stefana, a narzeczony Jadwigi, grał z wielkim humorem i życiem, wybornym był też Bolesławski w roli ekonoma, pani Fedorowiczowa zaś niewielką swoją rolę odegrała w wielkim wdziękiem, a zasługuje na szczerą pochwałę z powodu doskonałej modulacji głosu i wyraźnego sposobu mówienia, tak, że żaden wyraz, żaden szepet stracony nie zostaje.

K. Gliński.

RUCH MUZYCZNY.

Teatr rozpoczął sezon zimowy od hołdu złożonego wielkiemu kompozytorowi. W dn. 28 września odbyło się pierwsze po teryach letnich przedstawienie, na które złożyły się: „Verbum nobile“ Moniuszki i dwa ulubione balety „Zabawa dziecięca“ i „Wieszczka lalek.“

Wielka widownia odświeżonego wewnątrz teatru Wielkiego zapełniła się w dniu tym po brzebi publicznością, która rozkoszowała się pięknymi melodyami Moniuszki. Ale bo też i artyści,

biorący udział w przedstawieniu śpiewali *con amore*. W głosach ich znać było wypoczynek, brzmiały czysto i dźwięcznie.

Dawno też już nie pamiętamy opery tak dobrze śpiewanej nietylko w partyach solowych lecz i chóralnych. Oby inauguracyjne to przedstawienie było dobrą wróżbą na przyszłość.

Pełny sezon operowy rozpocznie się wystawieniem opery Puccini'ego „Manon Lescaut.“ Główne partie odśpiewają pani Olghina-Józefowicz i p. Myszuga.

Przedtem dany będzie „Straszny dwór“ z udziałem p. Strassern i p. Sienkiewicza.

Towarzystwo muzyczne zainaugurowało sezon zimowy dn. 29-go września koncertem przy współudziale orkiestry, p. Grąbczewskiego, i skrzypka p. Ozimińskiego.

Na program koncertu złożyły się trzy kompozycje orkiestralne, a mianowicie uvertura „Cudowna woda“ Moniuszki, „Taniec słowiański“ Dworzaka i „Polonez“ Żeleńskiego.

Kompozycya Moniuszki przypada na początkowy okres twórczości kompozytora, zdradza też słabe jeszcze przebliski indywidualności cechującej późniejsze utwory mistrza. Liryzm swojski, będący jedną z najpiękniejszych cech twórczości Moniuszki ustępuje tu miejsca nastrojowi dramatycznemu. Wykonanie uvertury pod batutą p. Noskowskiego było bez zarzutu.

„Taniec słowiański“ Dworzaka składa się z dwóch motywów, a mianowicie czegoś w rodzaju dumki i kozaka. Kompozycya ta aczkolwiek świetnie wykończona w szczegółach, nie jest dziełem wielkiego natchnienia i pomimo poprawnej interpretacji nie zdołała zainteresować słuchaczy.

Ten sam los spotkał również i „Polonez“ Żeleńskiego; niezbyt prawdopodobnie wyszkolona orkiestra nie zdołała pokonać szczęśliwie trudności technicznych, jakie kompozycya ta następczała.

Z solistów wieczoru poznaliśmy młodego skrzypka p. Ozimińskiego, wychowanka konserwatorium warszawskiego.

P. Ozimiński posiada talent niezaprzeczone, brak mu jednak temperamentu i uczucia, a co najważniejsza siły i głębokości tonu. Gra jego jako ucznia mistrza Barcewicza posiada dużo przymiotów świetnej szkoły, a mianowicie: czystość intonacji, szlachetne frazowanie i dość już wyrobioną technikę.

Młody skrzypek wykonał „Koncert D-mol“ Wieniawskiego z towarzyszeniem orkiestry, „Romans“ Czajkowskiego i „Melodye“ Rubinsteina, a nadto nad program intermezzo z czwartego aktu „Traviaty.“

Najdobitniej uwydatniła się indywidualność artysty w utworze, który najbardziej odpowiadał spokojnej jego naturze, a więc w „Romansie“ Czajkowskiego, w którym czarował nieposzlakowaną czystością intonacji.

Drugi solista wieczoru p. Grąbczewski, to artysta, aż nadto dobrze znany naszej publiczności, a jako śpiewak estradowy cieszący się bardzo zasłużoną sympatyą.

Barwny i dźwięczny głos jego drgał szczerem liryzmem w pięknych piosnkach Maszyńskiego „Dunajec“ i „Jakże cię mam brać, dziewczyno.“ Za to wykonanie „Zachwycenia“ Schumanna lub „Pieśni wojennej“ Moniuszki nie zupełnie było zastosowane do charakteru kompozycji i do treści poematu.

Wielkie zaciekawienie w sferach muzycznych obudził drugi wieczór Towarzystwa muzycznego ze względu na osobę biorącej w nim udział panny Wandy Landowskiej, która wystąpiła w podwójnej roli: jako kompozytorka i pianistka.

Spółczesność nasze poszczycić się może tak skromną liczbą prawdziwie utalentowanych kompozytorów, że pojawieniu się nowego talentu twórczego na horyzoncie muzycznym towarzyszy zawsze wielkie zainteresowanie. Temu też przypisać należy, że koncert ten ściągnął tłumy publiczności do Sal redutowych, żadnej usłyszeć kompozytorkę i artystkę, o której talencie, zwłaszcza w kierunku twórczości, zdawna już bardzo pocieszające, bo pochlebne dochodziły z zagranicy wieści.

I ostatni wieczór wykazał, że wieści te nie były wcale przesadzone. W pannie Landowskiej poznaliśmy rzeczywiście talent pierwszorzędny, powołany do tego, ażeby wielkie wyświadczyć usługi sztuce ojczystej.

Talent to przytem nawskroś oryginalny, imponujący wielkiem bogactwem pomysłów artystycznych i świeżością rysunku.

Trudno od stawiającej pierwsze swe kroki na polu twórczości, kompozytorki wymagać, by utwory jej były doskonałe w każdym kierunku, dziś w kompozycjach artystki nie dość jest jeszcze skryształowaną formą, w którą przyobleka swe pomysły, w każdym jednak razie to, co na ostatnim wieczorze usłyszeliśmy, pozwala stawiać jaknajlepsze horoskopy na przyszłość.

Wszystkie kompozycje panny Wandy Landowskiej tak wokalne jak i fortepianowe odznaczają się wielkiem bogactwem szczegółów i doskonałym obrobieniem technicznym, uderza w nich jednak do pewnego stopnia niejakie ubóstwo motywów. Miejmy jednak nadzieję, że za tem bogactwem szczegółów technicznych pójdzie również i bogactwo motywów i że z czasem i te braki w talencie twórczym młodej artystki przejdą do historii.

Z utworów wokalnych największym zasobem poezji i uczucia, jak niemniej najbardziej artystycznym opracowaniem odznacza się pieśń „Wiosna“ do słów Wildenbrucha. To samo da się powiedzieć i o kompozycji fortepianowej „Nuit d'automne.“

W rzędzie kompozycji wokalnych poznaliśmy nadto pieśni: „W mem sercu“—„Zgubione serce“—„Chochlik“—„Ici-bas,“ w rzędzie zaś utworów fortepianowych walc „Przy źródle“ i „Flirt.“

Jako pianistka (uczenica prof. Michałowskiego) znana jest panna Landowska publiczności warszawskiej z dawniejszych swoich występów. Od czasu ostatniego popisu przed rokiem wykazała artystka wielkie postępy, zwłaszcza w poprawnym i stylowym wykonaniu utworów klasycznych, które jak dawniej tak i dziś stanowią *cheval de bataille* artystki. Przekonać się o tem mogliśmy słuchając „Waryacji F-mol“ Haydna i „Gigue G-dur“ Mozarta, które oddane były z wielką miarą artystyczną. Mniej udatnie wypadł kaprys „Alcesty“ Saint-Saensa, w którym pianistka nie zawsze szczęśliwie pokonywała trudności rytmiczne.

Koncertanka wykonała wspólnie z mistrzem swym prof. Michałowskim „Sonatę“ Mozarta na dwa fortepiany, wykazując i tu niezwykle wyrobienie techniczne, które uwydatniło się zwłaszcza w zbyt szybkim traktowaniu pierwszego „Allegra,“ jak i „Finale.“ Nie potrzebujemy jednak dodawać, że popis ten w biegłości technicznej odbył się ze szkodą arcydzieła Mozartowskiego.

Utwory wokalne kompozytorki znalazły bardzo sympatyczną interpretatorkę w osobie p. Rapackiej. Śpiewaczka posiada bardzo przyjemny głos mezo-sopranowy, który od ostatnich swoich występów widocznie zrobił postępy tak pod względem metaliczności, jak i pewności emisji.

Grono sędziów złożone z p.p. Adama Münchheimera, Juliana Statlera, Michała Biernackiego, Władysława Rzepko i Piotra Maszyńskiego przystąpiło w tych dniach do osądzenia 20 utworów nadesłanych na konkurs „Lutni“ w terminie do 1-go października b. r.

Kwartetów *à capella* nadesłano: na głosy męskie 12, na mieszane 8.

Z pomiędzy kwartetów na głosy mieszane nagrodę rs. 50 przyznano pieśni pod godłem „Lutnia,“ i na pierwszym miejscu odznaczono pieśń pod godłem „Ad astra,“ noszącą tytuł „Astry.“ Wyróżniono nadto utwory p. t. „Dola“ i „Nieu-słuchana.“

W dziale kompozycji na chóry męskie postanowiono nie przyznać nagrody żadnemu z nadesłanych utworów, a wyróżnić tylko utwór p. t. „Oj rozżaliła się gwiazdka.“

Autorem utworu nagrodzonego nagrodą 50 rs. jest p. Stanisław Kuczkiewicz ze Lwowa.

Nazwiska autorów kompozycji odznaczonych i wyróżnionych ogłoszone zostaną dopiero po osobistym tychże zezwoleniu.

Z Santjago dochodzą nas bardzo pochlebne wieści o rodaczce naszej pannie Salomei Kruszelnickiej. P. Kruszelnicka występowała przez dwa sezony w operze lwowskiej, następnie zaangażowana została do opery królewskiej w Santjago. Krytyka miejscowa nie ma dosć słów uznania dla kreowanych przez nią postaci w „Lucyi z Lammermooru“ i „Zydówce.“

Z zagranicznego ruchu muzycznego zanotować wypada pierwsze przedstawienie nowej opery znanego i u nas autora „Sprzedanej narzeczonej“ Bedrzicha Smetany na scenie opery cesarskiej w Wiedniu. Nowa ta opera trzyaktowa z tekstem pióra Józefa Wenciga nosi tytuł „Dalibor.“

Akcja jej rozgrywa się w końcu XV w. w czasach, kiedy król polski Władysław panował nad Czechami. Rycerz Dalibor osadzony zostaje w r. 1498 w więzieniu za udział w buncie; w więzieniu uczy się gry na skrzypcach. Dotąd też jeszcze zachowało się przysłowie „Etiam Daliborem fames musicam docet“ (nawet Dalibora głód uczy muzyki). Dotąd jeszcze na zamku Hradezynie w Pradze znajduje się wieża pod nazwą „Daliborka“, która rycerzowi temu służyć miała za więzienie. W Operze Dalibor skazany zostaje na śmierć przez ścięcie pomimo usilnych starań kochanki o uwolnienie go.

W treść tę dosć skąpą na zapelnienie trzech aktów wprowadził pomysłowy librecista, znany z swoich tłumaczeń pieśni słowiańskich, kilka ożywiających i zabarwiających akcją epizodów. Do tych należy scena sądu w akcie pierwszym i usiłowanie uwolnienia więźnia w akcie drugim. Milada, siostra zamordowanego przez Dalibora burgrabiego, uczuwa gorącą miłość ku mordercy brata i stara się uwolnić go z więzienia, do którego dostaje się w przebraniu mężkiem. W tekście widoczne jest w ogóle naśladownictwo „Cyda“ Masseneta i „Lohengrina“ Wagnera.

Muzykę do Dalibora skomponował Smetana między r. 1866 a 1868, a więc w czasach największego powodzenia muzy Wagnerowskiej. Więć mistrz czeski szedł aczkolwiek w przyzwoitem oddaleniu za tą gwiazdą. To też rodacy jego, którzy wówczas dalecy byli od hołdowania nowemu kierunkowi, odpłacili mu za to odstępstwo. „Dalibor“ wystawiony po raz pierwszy 16-go maja 1868 r. pod batutą samego kompozytora przyjęty został chłodno i doczekał się pięciu zaledwie przedstawień. Równie niepomyślnie wypadła próba wznowienia tej opery dokonana w r. 1870.

I dopiero w r. 1892 doczekał się utwór Smetany należytej oceny wśród swoich rodaków.

„Dalibor“ zdradza w wielu bardzo miejscach przebliski oryginalnego talentu kompozytora. W niektórych ustępach nowej opery potrafił się Smetana wnieść do wyżyn prawdziwego artyzmu, a mianowicie w duecie miłosnym Milady z Daliborem i w pieśni dozorky więzienia.

Krytyka i publiczność przyjęły operę czeskiego kompozytora nadspodziewanie życzliwie.

W Wiedniu przedstawiono również po raz pierwszy operę Puccini'ego p. t. „La Bohème.“ Rolę tytułową „Mimi“ odtworzyła panna Saville.

Karol Goldmark, autor opery p. t. „Heimchen am Herd“, która zagranicą zyskała zasłużony rozgłos, pracuje obecnie nad nową kompozycją, do której treść zaczerpnął z mitologii greckiej. Nowa opera składa się z dwóch aktów i nosi tytuł „Branka.“ Tematu dostarczyły losy królewskiej córki Bryzeidy, ulubionej niewolnicy Achillesa. Nowa ta kompozycja ukaże się w nadwornej operze wiedeńskiej w drugiej połowie tego sezonu.

Adam Dobrowolski.

Z AMERYKI.

New-York, w Wrześniu.

Wiele się nieraz słyssało i czytało na temat zabobonności ludu naszego i ktoby uwierzyć chciał, tym, co wszystko to, co się tylko tyczy chłopu polskiego w czarnych widzą kolorach, ten myślałby niezawodnie, że to my tylko na polu wiary w gusła, czary i zabobony niezbyt pochlebny stanowimy wyjątek. A jednak tak nie jest, czego dowodem fakt, który miał tu niedawno miejsce w Chicago. Do miasta tego przybył przed niedawnym czasem z bezludnej pustyni Oklahomy wielki cudotwórca, obdarzony tajemniczą siłą, pozwalającą leczyć mu najcięższe choroby przy pomocy ruchów rąk, które nawet dwuletnie niemowlę bez niczyjej pomocy wykonać jest w stanie. Hołdując przyjętym tutaj zwyczajom przybył w towarzystwie sekretarza i impresarya i otworzył „ambulatoryum“ nad brzegiem uroczego Michiganu. Tutaj to przez dotknięcie palcami dłoni i pleców pacjenta dokonuje „boski uzdrowiacz“—jak się sam w skromności swej tytułować każe,—cudów swoich. Leczy ślepych, głuchych, kulawych bez względu na to czy kalectwo pochodzi od urodzenia, czy jest nabyte. Z ślepych i głuchymi mu jakoś się nie wie, ale za to z kulawymi dokazuje prawdziwych „cudów“, bo każdy z pacjentów tej kategorii jest w stanie ujsć bez kul dwa przynajmniej kroki, zanim upadnie jak długi na ziemię. Niepowodzenia te nie zrażają jednak cudotwórcy, który pacjentów swoich uszczęśliwia „amuletem“ w postaci „pobłogosławionej“ przezeń chustki od nosa, która chronić ma właściciela od wszelkich dolegliwości na przyszłość. Niepowodzenia te nie zrażają również i pacjentów, którzy ze wszystkich stron tłumnie śpieszą do tego dobroczyńcy ludzkości.

Widać więc z tego, że nietylko nasz ludek odznacza się taką na tym punkcie „ciemnotą.“ W tak nawet trzeźwej i wolnej od wszelkiej uczuciowości instytucji, jak giełda nowojorska, zażywał przez dłuższy czas wielkiego powodzenia wróżbita przepowiadający zwyżki i zniżki finansowe. I najpotężniejsze tuzy finansowe nie wahały się korzystać z cennych rad i wskazówek jasnowidzącego finantysty, któremu operacje te pokażniejsze przynosiły zyski, aniżeli gra na zwyżkę lub zniżkę.

Szarlatanerya lekarska ma tu grunt daleko podatniejszy, aniżeli w Starym świecie, to też rozwija się coraz bardziej. U nas znachor, lub baba, znająca się na ziołach leczy rozmaite dolegliwości przy pomocy środków tak niewinnych, jak „komarowe sadło“ lub „łapki nietoperza“, tu w świecie najwyższej cywilizacji miejsce środków tych zajęły najrozmaitsze balsamy i eliksiry, które tem są w pojęciu powszechnem skuteczniejsze, im nazwa ich jest trudniejszą do spamiętania. Lekarze miejscowi chcą wyjść szczęśliwie z walki z niebezpiecznym, bo bardzo popularnym konkurentem, uciekając się muszą również do przepisywania specyfików własnego pomysłu, leczących wszystkie choroby. I jeżeli biedna ludność amerykańska nie wymarła dotąd jeszcze doszczętnie, to przypisać to należy chyba nadzwyczajnej odporności anglo-saksońskiej, której wszystkie te trujące pigułki i eliksiry zmózd nie zdołały.

Z początkiem b. m. obchodziły wszystkie Stany uroczyste „Święto Pracy.“ Święto to jest obok „Dnia Niepodległości“ jedynem obchodzonym przez wszystkie Stany, a zatwierdzonym zostało przez kongres przed czterema laty. Inne święta nie są powszechne i obchodzone są tylko w kilku lub kilkunastu Stanach. Do takich należy między innymi „Dzień dziękczynny“ (Thanksgiving Day), który początek swój wie dzie od czasu, gdy Nowy York był jeszcze w posiadaniu Holendrów i nosił nazwę Nowego Amsterdamu. Dzisiaj uroczystość tę poprzedza zwykle proklamacya prezydenta Rzeczypospoli-

tej z wezwaniem do obywateli kraju, by w dniu tym złożyli podziękowanie za wszystkie zesłane przez Boga dary.

Inne święto tego rodzaju, noszące nazwę „Dnia Drzew“ (Arbor Day) obchodzone bywa tylko przez Stany zachodnie na pamiątkę dokonanej w swoim czasie wielkiej trzebieży lasów, która wiele szkody krajowi przyniosła. Święto to wypada zwykle na wiosnę; w oznaczonym dniu zbierają się wszyscy mieszkańcy miasta, aby wspólnie dokonać sadzenia drzew na publicznych gruntach. Główną rolę w uroczystości tej odgrywają dzieci, które zasadzają grunta należące do szkoły. Tak więc zwyczaj ten nietylko święci dawną tradycją, lecz także ma wpływ korystny na młodzież, przyzwyczajając ją bowiem wcześniej już do poszanowania dla drzew.

Pisma tutejsze opowiadają romantyczną historię pięknej księżniczki Tonomoroanu. Ponieważ nazwiska tego niema w—Almanachu gotajskim,“ pośpieszam więc objaśnić, że księżniczka ta jest jedyną latoroślą księcia Lumu Munosao, dowódcy garstki murzynów w południowej Ameryce, który się w urzędowym swym organie, jeżeli go posiada, nazywać każe królem. Do małego jego państewka znaleźli już dawno przystęp „biali“ wnosząc doń cywilizację europejską. Córka jego 18-letnia Tonomoroanu otrzymała już wychowanie europejskie, a w licznych podróżach przedsiębranych do Europy zdołała zapoznać się z panującym tu kierunkiem emancypacyjnym i z ludźmi innego świata. W ten sposób powstała w niej podobnie jak w Sudermanowskiej Magdzie walka między dwoma światami. światem nowym i tym, w którym żyć każe ją urodzenie.

Walka ta wzmogła się do tego stopnia, że pod wpływem jej powzięła młoda księżniczka mocne postanowienie, że nie zakosztuje nigdy słodkich więzów hymenu. Wielu starało się o jej względy, ona jednak nikogo nie wysłuchiwała. a to jest niesłychane przynajmniej w państwie, które reprezentuje jej ojciec. Bo małżeństwo jedynej córki królewskiej jest koniecznością państwową, od której zależy zachowanie dynastji i państwa. „Cóż się stanie ze mną i z moimi potomkami, jeżeli zejde z tego świata bez zięcia.“—mówił często do siebie król, który ulubionej swej myśli uściskania wnuczka nie mógł się pozbyć nawet w swych monologach. Pewnego tedy dnia powziął stanowcze postanowienie zrobienia w tym kierunku córce swej realnych propozycji, i zażądał od niej kategorycznie, by oddała swą rękę młodzieńcowi, którego on jej na męża przerna- czył. Postępowała córka odrzekła jednak:

„Wiem wprawdzie, że nazwisko Aporoaptata piękną w państwie twem posiada sławę, ja jednak gardzę nim.

„Nie oddam ręki mej nigdy człowiekowi, który nie jest w stanie pojąć moich uczuć i mego sposobu myślenia, który mi nigdy nie przyzna „praw duszy“, z którym mnie nie łączy nic prócz koloru skóry. Przy takiej powierzchownej harmonii nie czułabym się nigdy szczęśliwą. Ulegając europejskim moim przyzwyczajeniom oddam rękę mą tylko—białemu.“ Naprawdę starała się jej król wytłomaczyć, że małżonek jej musi być murzynem, że wola narodu domaga się, rządu „czarnego“ i nie zgodzi się nigdy, na małżeństwo i rząd „mieszany“, że choć przeprowadzenia bezbarwnego programu księżnej wywoła rewolucję, która obalić może państwo i tron. Księżna odpowiedziała, że jej zasad nikt obalić nie jest w stanie. Parlament murzyński nie ma w ogóle prawa mieszać się do spraw „zewnętrnych“, a że i jako królowa nie przestaje być kobietą zastrzega więc sobie i własne sprawy „wewnętrzne.“ Dyskusya ta jest zresztą wogóle bezprzedmiotową, niema bowiem obecnie wcale chęci wyjścia za męża. Skutkiem tej opozycji biernej uległ król woli swej córki, pragnącej pozostać samą i chcąc powstrzymać ją od polityki wolnej ręki, kazał ją zamknąć pod klucz, tak że pomimo szerokiego swego wykształcenia horyzont ma obecnie bardzo ograniczony.

W braku wszelkich ewenementów politycznych cała uwaga amerykańców skierowana jest

na odkrycie nowej kopalni złota w Alasce, z ką przychodzą coraz to bardziej sensacyjne wieści. Ze ludzie ubodzy, uwiedzeni gorączką złota całymi tłumami wędrują do ziemi obiecanej, to nikogo nie zdziwi; że jednak milionerzy urządzają wycieczki do Alaski i tam wspólnie z żonami swymi i córkami w pocie czoła pracują z łopata w rękę, to już sport *fin de siècle*.

Przed kilku dniami powrócili z Klondyke po długiej i pełnej przygód podróży, która trwała całe lato, dwaj szwagrowie Vanderbilta. Jeden z tych Nababów, bankier Sloane opowiadał w gronie przyjaciół swoich w sposób humorystyczny przygody awanturniczej tej podróży. „Tak wspaniale, jak w Klondyke,—mówił on—nie bawiliśmy się nigdy w życiu. A cóż dopiero nasze panie! Prowadziły one tam życie niemal koczownicze, a pozbywszy się wszelkiego przy- musu, wyruszyły na poszukiwanie złota i kopały ziemię własnymi swymi delikatnymi rączkami. Rzecz prosta, że nic nie znalazły! Żeśmy jednak przywdziali stroje z skór baranich, jak o tem doniósł jakiś pomysłowy reporter i że panie nasze podostawały pęcherzy na rękach od dźwigania pięciofuntowych łomów żelaznych,—to nie prawda.

Podróż nasza trwała trzy miesiące.

Z początku jechaliśmy naszym salonowym wagonem, aż do Seattle, a następnie wsiedliśmy na parowiec. Panie nasze nie posiadały się z radości, w powodu nowych, a nieznanych warunków życia, w jakich się znalazły. Zmiana okolic, zwyczaje i obyczaje tubylców, ich malownicze stroje, wszystko to było dla nich nowością i jako taka dziwiło je bardzo. Radzę każdemu, komu się sprzyrzyło nudne życie towarzyskie w New Yorku, niech jedzie do Klondyke i żyje życiem dzikich! Jest to coś zupełnie nowego coś nigdy niebywałego! Wszystko to lepsze aniżeli podróż do Europy i zbijanie bruków w cywilizowanych krajach! Kucharz nasz na okręcie, to okaz, jakiegośmy nigdy nie widzieli. Miał małą bryłkę prawdziwego złota, której strzegł, jakby była warta miliony. Chował ją pod poduszkę i spał na niej. Używalimy wszelkich starań, ażeby mu odebrać ten skarb, wszystko jednak było na próżno. Wszędzie czuć złoto; lata ono w powietrzu, dostaje się do kieszeni, osiada we włosach i doprowadza człowieka do szaleństwa.

Pewnego razu wszedłem do golarni, by się ostrzydzić i ogolić. Przyjemność ta kosztowała mnie dwa dolary, ale też miałem uciechę, którejbym długo szukał w New Yorku. Gdy opuszczał golarnię, spostrzegłem, że golarz wszystkie moje ostrzyżone włosy zebrał i zamknął je następnie pod klucz. Dowiedziałem się potem ze zdziwieniem, że golarz ten włosy te starannie wymył, ażeby zebrać nagromadzony w nich proszek złoty.

Takie zachwyty pod adresem min złotodajnych wypowiada milionowy bankier, coż więc mówić o tych biedakach, którzy ostatni swój ciężko uciulany grosz poświęcają na podróż do tego raję na ziemi.

Drugą sprawą niemniej społeczeństwo tutejsze interesującą jest rozgrywający się obecnie proces przeciw właścicielowi olbrzymiej fabryki kiełbas w Chicago Luetgertowi, oskarżonemu o morderstwo swej żony.

Luetger sprowadził żonę podstępnie do fabryki, a zamordowawszy ją dla ukrycia śladów swej zbrodni rozpuścił ciało nieszczęśliwej ofiary w kotle napełnionym silnym rozczynek gryzącego potasu. Sprawa cała wydała się w następujący sposób: podczas rewizji fabryki znaleziono w pobliżu kotła z potasem kawałki ciała i kości ludzkich i dwa pierścionki, które były własnością żony oskarżonego. Na wniosek proku-

ratora i obrońcy dokonane zostały szczegółowe badania działania potasu na rozkład ciała ludzkiego. Sprawa cała przedstawia się w ogóle bardzo niejasno, a zaciemnia ją jeszcze okoliczność, że obrońca oskarżonego dostarczyć ma świadków, którzy widzieć mieli mniemaną ofiarę zbrodni w Nowym Yorku.

Materyału do drugiego procesu, niemniejszą budzącego sensację dostarczył niejaki Bates oskarżony o pięciożeństwo. Potrafił on pomimo skromnej, bo 60 zaledwie dolarów miesięcznie wynoszącej pensji tak się urządzać, że mu starczyło na utrzymanie równocześnie wszystkich pięciu żon i że żadna z nich nie mogła domyśleć się, że ma więcej koleżanek. Okoliczność tę wyzyskał isticie po amerykańsku sprytny przedsiębiorca, właściciel jednego z muzeów w Chicago. Złożył on kaucję za oskarżonego i publicznie przez kilka tygodni cieszyć się mogła widokiem takiej osobliwości. Nie dość jednak na tem. Bates wrócił do więzienia, a miejsce jego w muzeum zajęły żony, które opowiadają odwiedzającym, w jaki sposób wspólny ich małżonek żywił je i utrzymywał za 60 dolarów miesięcznie.

Niema to, jak pomysłowość amerykańska, która z każdej sposobności ciągnąć potrafi zyski i to bardzo pokaźne.

Milionerzy tutejsi prześcigają się wzajemnie w stawianiu wspaniałych pałaców. W Newport, miejscowości położonej nad zatoką Oceanu Spokojnego wznosi obecnie Krezus tamtejszy pałac z szklanych kolorowych cegiełek. Budowa przypomina styl staro-pompejańskich pałaców. Cegielki szklane są rozmaitej wielkości kształtu i barwy.

Pałac jest kształtu czworoboku; wewnątrz na podwórzu mieścić się będzie wspaniała wodotrysk. Podczas nadzwyczajnych uroczystości woda, oświetlana różnokolorowym światłem elektrycznym, będzie perfumowana. Środek wodotrysku zajmie figura bożka Bachusa, z olbrzymim puharem w rękę, z którego spadać będzie strumień prawdziwego wina kalifornijskiego z winnic właściciela pałacu.

Słowem wszystko jak w zaczarowanej bajce

Długo trwające w New Yorku i Brooklynie bezrobocie „krawców od kamizelek“ (specjalność czysto amerykańska) zakończyło się zwycięstwem siedmiu tysięcy strejkujących. Bezrobocie to będzie miało ten skutek, że pociągnie za sobą wielką ilość małżeństw. Krawcy bowiem chcąc zachęcić pracujące u nich robotnice do wytrwania przy swoich żądaniach, przyrzekli im w razie pomyślnego obrotu poślubienie. Przyrzeczenie to obecnie zamienić muszą w czyn, bo u nas w Ameryce niema w tych sprawach żartów, i krawcy, mając do wyboru więzienie lub stopnie ołtarze, wolą te ostatnie.

Na zakończenie słów parę o tegorocznych zbiorach.

Urodzaj na zboże dopisał, zwłaszcza w stanie Ohio, co wobec nieurodzaju w krajach konkurujących podniosło znacznie cenę na zboże. Okoliczność ta odbija się bardzo korzystnie na stunkach handlowych i przemysłowych kraju.

Według obliczeń *American Agriculturist* całkowity tegoroczny zbiór pszenicy w Europie wyniesie około 1,200 milionów buszli (1 buszel=27 klg.), a że potrzebować ona będzie 150 do 300 milionów buszli, reszty więc dostarczy Ameryka za dobre pieniądze.

Z. Rawicz.

Kronika działalności kobiecej.

— Państwowa szkoła przemysłowa we Lwowie urządziła doroczną swą wystawę, a dział „robót kobiecych“ przedstawia się bardzo zajmująco. Dział ten obejmuje hafciarstwo i koronkarstwo w najrozmaitszych stopniach i odzieniach rodzaj i prace rysunkowe uczennic na te działy uczęszczających. Od koronek i haftów najprostszych, aż do isticie artystycznych okazów z najcieńszych nici i jedwabiu widzimy tu przedstawione wzory i przedmioty wykończone w stylu starożytnym, wschodnim, perskim arabskim i innych. Na kursach haftu i koronek są uczennice obowiązane do 1-ej godziny tygodniowo nauki kroju, aby umiały wyroby ozdobnicze zastosować do ubrania, w dziale haftu zaśbiorą po 8, w dziale koronek po 6 godzin tygodniowo lekcji rysunku, nauki o barwach i przemysłowego zastosowania ornamentyki. Kurs koronek trwa lat 3, haftu 4 lata, obejmując tygodniowo godzin 36½. Wpis wynosi 1 guldena, a czesne 2 guldeny na półrocze, materyały do robót i przyrządy udzielane są uczennicom bezpłatnie, oprócz tego biedniejsze pobierają stypendya. W r. b. pobierało 9 uczennic z kursu haftu stypendyum po 100 gul. z koronczarek 3, a jedna z uczennic otrzymała na dalszą naukę koronek w Wiedniu zasiłek 350 zł. reńskich. Tak uposażona i urządzona szkoła mogłaby dawać wielu pracownikom chleb w rękę, lecz różne ekonomiczne warunki niesprzyjające rozwojowi tej gałęzi przemysłu jak i wielu innym, stoją jeszcze na przeszkodzie wybitniejszym dobrem skutkiem działalności wybornej szkoły przemysłowej we Lwowie.

— W Przemysłu panna Hild, przełożona pensjonatu ma zamiar otworzyć gimnazjum żeńskie. Będzie to już trzecie gimnazjum w Galicyi dla kobiet.

— W Wilnie p. Lipińska przełożona rękodzielniczej dla kobiet, istniejącej od 1860 r. w Październiku rozpoczyna dwumiesięczny kurs kucharstwa dla uczennic.

— We Włoszech powstały obecnie trzy nowe związki kobiece. „Komitet narodowy“ starający się o prawa wyborcze dla kobiet, „Associazione per la donna“ w Rzymie, mające przedsiębrać badania nad sprawą kobiet, oraz Towarzystwo popierania sprawy kobiecej we Florencji. Tyle stowarzyszeń dla popierania „sprawy!“ a we Włoszech przydałyby się przede wszystkim dobre szkoły dla kobiet i poważniejsze ogólnie nastrój ich umysłów.

— W Berlinie, w Królewskim Gimnazjum imienia Królowej Luizy, zdały przed komisją egzaminacyjną, wobec przewodniczącego rady szkolnego D-ra Genza, egzamin dojrzałości czyli maturę trzy uczennice gimnazjalnych kursów dla kobiet, mianowicie panna Walerya Abraham, Margareta Breymann i Helena Schlesinger. Nowy kurs gimnazjalnej nauki dla kobiet rozpoczyna się z dniem 1 Października.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 6 powieści, p. t. *Dla zabicia czasu* Fr. Spielhagena. Przekład Z. S.

Treść: Najpiękniejsza, przez Kazimierza Glińskiego. — O Edwardzie Jelinku wspomnienia Adolfa Czernego, przez Aleksotę. — Wystawa pracy kobiet.—Kazimierz Gliński. Wrócił Powieść. (dalszy ciąg).—Teatr, przez K. Glińskiego.—Ruch muzyczny, przez A. Dobrowolskiego.—Z Ameryki, przez Z. Rawicza.—Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: *Dla zabicia czasu*, powieść, Fr. Spielhagena. Przekład Z. S. Arkusz 6.—Przegląd mód. 30 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycje obiadu.